

BARBARA HOLLENDER

Aktor, reżyser, artysta wierny inteligenckiemu etosowi. Wykładowca, przez dwie kadencje rektor krakowskiej szkoły teatralnej. Autor kilku książek. 18 kwietnia Jerzy Stuhr kończy 70 lat.

# PRZESMYKNAŁEM SIĘ PRZEZ RAFY

**M**oje pokolenie miało ciekawe życie – mówi mi jubilat. – Urodziliśmy się w stalinizmie, a starzejemy się w wolnym kraju.

Dziś dziennikarze chcą z nim rozmawiać o Polsce. Mówi wtedy mądrze, z z troskaniem. O swoim rozumieniu patriotyzmu, o lęku przed histerią prowadzącą do nacjonalizmu, o braku szacunku dla prawa, który rodzi pogardę w stosunku do drugiego człowieka. Ale ostatnio niechętnie zgadza się na takie wywiady. Woli komunikować się z widzami poprzez sztukę – w teatrze, w kinie.

W swoim ostatnim filmie „Obywatel” porwał się na opowieść o meandrach sześciu dekad naszej najnowszej historii.

– Próbowałem pokazać, przez co przeszliśmy. Tylko chciałem, żeby było trochę śmiesznie – wyjaśnia. – Bo poważnie o tych zakrętach mówili Wajda, Kieślowski, Smarzowski. A we mnie tkwi Munk. Nastrój „Eroi” i „Eroi”, więc pomyślałem: „Kurczę, trzeba znaleźć krzywe zwierciadło. Szkło w oku”.

Wadząc się w „Obywatelu” z polskim losem, Jerzy Stuhr rzeczywiście poszedł śladami Munka. Bo nad Wisłą nawet „zwyczajni obywatele” bywali uwikłani w życie polityczne. Więc jego Bratek, pechowiec i oportunist, mimowolnie stał się zarówno antybohaterem, jak i bohaterem. Opowiadając o nonsensach PRL, o naszym często zakłamanym katolicyzmie, o antysemityzmie, o słabościach zarówno władzy, jak i opozycji – Stuhr nie przybrał tonu martyrologicznego. Wiedział, że śmiech oczyszcza. A na zarzuty odpowiadał: „Uważacie, że to schematyczne? 90 procent scen w tym filmie to życie moje i ludzi, których znałem”.

Mówi o sobie, że jest miksem polsko-austriackim. W połowie XIX wieku Anna Thiel i Leopold Stuhr, jego pradiadkowie z Dolnej Austrii, zapalali miłością do Polski i przenieśli się do Podgórz pod Krakowem. Leopold został tam radnym i prowadził restaurację. Rodzina matki pochodziła z Kalwarii. Jej ojciec, Ludwik Chorąży, z wykształcenia inżynier, był oficerem. W czasie II wojny światowej trafił do rosyjskiej niewoli. Do Starobiel-ska, potem Charkowa. Ostatnie kartki od niego pochodzą z kwietnia 1940 roku.

Jerzy Stuhr urodził się w 1947 roku w Krakowie. Matka była księgową, ojciec – prokuratorem. Wujowie ojca też byli prawnikami, a sędzia, adwokat i prokurator z jednej rodziny nie mogli pracować w tym samym województwie, więc rodzice przenieśli się najpierw do Katowic, potem do Cieszyna, a wreszcie do Biał-ska-Białej. Tam Jerzy Stuhr spędził młode

lata i pierwszy raz stanął na scenie, statystując w „Dziadach”. Zdając maturę, wiedział już, że chce być aktorem. Ale, jak mówi, ojciec go „grzecznie poprosił, żeby się z tym aktorstwem nie wygłupiał”. Powtarzał: „W naszej rodzinie mężczyźni studiowali na Jagiellonce”. Syn posłuchał. Poszedł na polonistykę.

– To był dobry krok – twierdzi dzisiaj. – Byłem niedouczony, a na studiach słuchałem wykładów Kazimierza Wyki, Tadeusza Ulewicza, Henryka Markiewicza, wreszcie Marii Dłuskiej, u której potem pisałem pracę magisterską.

Ale z aktorstwa nie zrezygnował. Już na drugim roku „niuchał po scenach studenckich”. I znalazł się w zespole Teatru STU Krzysztofa Jasińskiego. A pisząc na piątym roku polonistyki pracę magisterską, był już studentem szkoły teatralnej.

Dzięki rekomendacji Jerzego Jarockiego dostał angaż w Starym Teatrze. U Wajdy wszedł w zastępstwo za Pszoniaka w „Biesach”. Potem były: „Noc listopadowa”, „Emigranci”, aż do „Hamleta” i „Zemsty”. Grał w słynnych „Dziadach” Swinarskiego, miał też być Horacym w „Hamlecie”, gdy przyszła wiadomość, że wielki polski reżyser teatralny zginął w katastrofie lotniczej. Stuhr występował w spektaklach Hussakowskiego, Grzegorzewskiego, Jarockiego. Od tego ostatniego uczył się też reżyserii, asystując mu, m.in. przy „Wiśniowym sadzie” i „Procesie”.

## Potęga Starego Teatru

**W** latach 70. Stary Teatr był legendą. Tylko ojciec nigdy nie widział go na scenie.

– To nie była jego bajka – przyznaje aktor. – On był poważnym człowiekiem, zawsze mi mówił: „Pamiętaj, żebyś wychodził z domu w zapiętej kamizelce”. Wstydził się oglądać, jak syn się wygłupia.

Ale dla Jerzego Stuhra to był czas wyjątkowy.

– Potęga Starego Teatru polegała też na tym, że myśmy razem spędzali dnie i noce – wspomina. – I jeszcze ten Kraków, gdzie wszyscy się znali. Nasz klan mieszał się z klanami Piwnicy, Kantora. Nie czuliśmy socjalizmu. Stare mury, literatura, wyobrażenia plastyków. Byliśmy z boku polityki. Nawet jak zbierano podpisy pod listem w sprawie poprawek do konstytucji, to KOR-owcy nas nie przyciskali. Zagrałem wtedy w „Wodzireju” i Andrzej Wajda, który był szefem Zespołu X, poprosił: „Jurku, nie podpisuj, bo będzie powód,

żeby film Falka zatrzymać”. Zagajewskiemu powiedziałem: „Adam, mam trudną sytuację”. Zrozumiał natychmiast.

Ale w latach 80. polityka się o Stuhra upomniała. Jako „znaną twarz” wysłano go z Krakowa na zjazd artystów Solidarności w Teatrze Wybrzeże.

– Siadłem skromnie z boku, bo gdzieś mi do nich – opowiada. – Tam działa się rewolucja, gdańscy aktorzy trzymali ze stoczniovcami. Ale wybrali mnie do zarządu Komisji Krajowej NSZZ Solidarność Artystów. Pomyślałem: „Kurczę, przecież oni nie wiedzą, czy ja potrafię cokolwiek zrobić. Zapisalem się do Solidarności, bo fajnie gadali i zobaczyłem »Robotników '80«. Ale gdzie do władz?”. Jednak zgodziłem się. Potem rektor Michałowska zrobiła mnie w szkole rzecznikiem dyscyplinarnym. A tu stan wojenny i ta funkcja była najgorszą, jaka mogła się zdarzyć: co chwilę musiałem chodzić na SB i wyciągać naszych studentów aresztowanych po manifestacjach. Nieźle poznałem tych funkcjonariuszy, dlatego tak dobrze potem zagrałem Porfirego Pietrowicza.

Wtedy zaczął dużo pracować za granicą. Jeszcze w latach 70. jeździł po świecie ze Starym Teatrem. Szczególnie zapamiętał wyjazd do Londynu. „Kompleksy straszne” – podsumowuje krótko. Ale potem, w okresie przygnębienia i znużenia, pomyślał o pracy poza Polską. Zgłosił się do Pagartu. Zaczęło się od Centro Sperimentale di Teatro w Pontederze. Wielka promocja Witkacego, sesja naukowa na uniwersytecie, dla niego główna rola w „Onych”. To miały być cztery przedstawienia. Po fantastycznych recenzjach skończyło się na trzymiesięcznym tournée. Do tego doszły wykłady: w Palermo, Perugii, Bolonii, Mediolanie, Rzymie. Mówił już biegle po włosku, to był początek jego wieloletniej, trwającej do dzisiaj włoskiej przygody. Współpracy z teatrami, ról w filmach, bardzo znaczą-

cych, u świetnych reżyserów, między innymi u Michele Sordillo w „Cudzym życiu” oraz Nanniego Morettiego w „Kajmannie” i „Habemus Papam – mamy papieża”. Włosi wysoko Stuhra cenią. Z własnymi filmami był kilka razy zapraszany na festiwal wenecki.

Wiktor Woroszyński napisał w „Więzi”, że teatralne aktorstwo Stuhra tworzy znak, obraz losu, współczesnej kondycji. Ale on sam twierdzi, że to film wpisał go w pokolenie. W drugiej połowie lat 70. narodziło się kino moralnego niepokoju. Do głosu doszli twórcy, którzy wyczuli nastroje narastającego niezadowolenia społecznego, sprzeciw wobec podwójnej moralności, tęsknotę za wolnością. To wszystko, co potem okazało się tak ważne w sierpniu 1980 roku. Stuhr stał się aktorem Feliksa Falka, Tomasza Zygadły, Agnieszki Holland, Krzysztofa Kieślowskiego.

– To był tygiel, bardziej czułem się współtwórcą niż facetem, który gra rolę. Wchodziłem przed kamerę we własnej marynarce, mogłem mówić własnym tekstem. Wszyscy myśleliśmy podobnie. To samo nas wkurzało, przeżywaliśmy te same niepokoje. Nasze filmy z trudem przebijaly się przez cenzurę, szły na półki. Ale byliśmy razem. Jeśli mam powiedzieć, gdzie rodziła się moja postawa obywatelska, to właśnie w tej grupie.

Stuhr stworzył wielkie role w „Wodzireju” i „Szansie” Falka, grał w „Ćmie” Zygadły, występował u Agnieszki Holland. No i wsiąkł w kino Kieślowskiego. Andrzej Wajda szybko wyczuł nowy trend. Po „Spokoju” napisał do Stuhra list: „Zobaczyłem nowy typ aktorstwa”. I zaprosił go do obsady „Bez znieczulenia”.

– Przedtem byli romantycy, szeroko grający Daniel Olbrychski – mówi aktor. – A nagle na ekranie pojawili się zwyczajni faceci, z przetłuszczonymi włosami i cholernymi problemami codzienności. I Wajda to wyczuł. Ja podobny szok prze-



JACEK MARCZEWSKI/AGENCJA GAZETA



żyłem wcześniej, gdy w 1971 roku zobaczyłem „Za ścianą” Zanusiego. Pomyślałem: „Można tak grać. Nic nie robić, nie wygłupiać się, tylko być”.

Kieślowski wywierał duży wpływ na ludzi. Uczył ich głębokiego spojrzenia na świat, uczciwości, ale też nieszablonowości.

## Busola według Kieślowskiego

**K**rzyś był charyzmatyczny i niezależny – mówi Stuhr. – Nie dał się w nic uwikłać, nie przekraczał granicy, którą sobie sam wyznaczył. W „Amatorze” dopisał scenę, w której bronił dyrektora zakładu. Mówię: „Krzysiu, Agnieszka nas powiesi”. A on, jak zawsze w takich sytuacjach, odpowiada: „Wujek tak musi”. Po „Bez końca” wszyscy na niego naskoczyli, bo znów rozdawał racje równo. To była chyba największa lekcja, jaką od niego dostałem. Zrozumiałem, że trzeba mieć własną busolę, nie dać się połknąć żadnej stronie.

W ostatnim dwudziestolecu XX wieku Stuhr wystąpił w ponad 80 filmach i spektaklach telewizyjnych. Stworzył kreacje u Kieślowskiego i Szulkina, objawił komediowy talent w filmach Juliusza Machulskiego „Seksmisja” czy „Kiler” przyniosły mu ogromną popularność. Dlaczego więc aktor o tak fantastycznej karierze zaczyna reżyserować?

– Grasz w filmach, niby bierzesz za nie odpowiedzialność – odpowiada. – Ale przecież jesteś tylko trybikiem w maszynie. Kończą się zdjęcia i w montażu robią z tobą, co chcą. A nagle zorientowałem się, że jest kilka rzeczy, o których chciałbym sam opowiedzieć. Czytam książkę Jurka Pilcha „Spis cudzołóżnic”. Myślę: „Boże, to o mnie. Polonista, Kraków, koleżanki-cudzołóżnice ze studiów, ile ich tam było... Dwieście, a nas szesnastu. To moje życie”. Ta książka trafiła do mnie, bo poczułem pierwszy przypływ przemijania. Swojego, epoki. Wiedziałem, że nic się nie powtórzy, że w kraju zmienia się wszystko.

W 1994 roku Stuhr zekranizował „Spis cudzołóżnic”. Jego bohater niósł cały bagaż polskich doświadczeń. Miał w pamięci przemieszanie jak w tyglu walki narodowowyzwoleńcze, powstania, tragedie Pyjasa i Popieluszki, Solidarność. Był rozczarowany, wypalony wewnętrznie. W nawałnicy zdarzeń i niespełnień rozmienił na drobne uczucia. A Stuhr, jak w „Amatorze”, zwrócił kamerę na siebie:

– U Kieślowskiego byłem zaopatrzeniowcem. We własnym powiedziałem sobie: czuję się inteligentem i nieśmiało spróbuję to wyrazić.

I tak już zostało. Jerzy Stuhr robi filmy o Polsce, o Polakach, o sobie. Zawsze w nich gra, jakby chciał podkreślić, że opowiada o własnych niepokojach. W „Spisie cudzołóżnic” mówił o przemijaniu, w „Historiach miłości” – o meandrach uczuć. Splótł tam ze sobą cztery wątki, których bohaterami byli: ksiądz, wojskowy, drobny przestępca odbywający wyrok i wykładowca uniwersytecki. Wszyscy oni borykali się z uczuciami i wszystkim Stuhr dał swoją twarz. Bez przebieganiek i charakteryzacji.

– Wajda powiedział: „Jak ty to wymyśliłeś? Myślałem, że sobie wasy przykleisz...”. Ale przecież to był ten sam facet, tylko w różnych konfiguracjach. Tak zachowuje się mężczyzna. Raz weźmie miłość, raz się jej przestraszy i odejdzie. Nie rządzi tym ani wykształcenie, ani pozycja, ani wychowanie.

W „Tygodniu z życia mężczyzny” znów obserwował polskiego inteligenta. Prokuratora, faceta koło pięćdziesiątki za-

czynającego odnajdywać się w nowej, posttransformacyjnej rzeczywistości.

Stuhr pokazał siedem dni, w których niestannie mija się on z dekalogiem. Ma usta pełne frazesów, wie, jak być powinno, ale idzie na drobne kompromisy, które potem składają się na życiowe łotrostwo, na brak wrażliwości na innych. Grając główną rolę, Stuhr znów nie mówił „wy”. Przyznawał: „To ja jestem słaby”. I przypominał, że czasem wystarczy chwila, żeby na wszystko było za późno.

W „Pogodzie na jutro” również przyglądał się społeczeństwu po transformacji. Zawieszonemu między starymi wartościami a nowymi, uwikłanemu w gry polityczne, budującemu korporacyjne układy, a jednocześnie zagubionemu i coraz bardziej pozbawionemu drogowskazów. Stuhr szukał sposobów na przetrwanie – może odnalezienie się w rodzinie? Krytyka zarzucała mu dydaktyzm.

– Zgoda: artysta powinien zadawać pytania, a nie podawać recepty na życie – odpowiadał. – Ale czasem trzeba mieć odwagę, by się za czymś opowiedzieć. Łatwo jest zostawić widza w niepewności, trudniej dać mu nadzieję. A ja chciałem, żeby widz wyszedł z kina silniejszy.

W tych rozrachunkach z Polską i własnym życiem Jerzy Stuhr zmierzył się również z lustracją. W 2005 roku opublikowana została lista Wildsteina. Stuhr był wówczas rektorem krakowskiej PWST. Sam został zlustrowany w Ministerstwie Kultury. Ale do szkoły przyszło pismo, że ma wysłać do IPN oświadczenia wszystkich pedagogów.

– Przeżyłem to potwornie – mówi. – W szkole było oburzenie. A co ja miałem robić? Zebrałem te papiery. Byliśmy wtajemniczeni tylko ja i personalna. Siedzimy razem w gabinecie i czytamy. Nie byłem. Nie byłem. Nie byłem. Byłem... Mój kolega z roku... Nie byłem. Byłem... Kurde, podkochałem się w tej dziewczynie. Wysłaliśmy te oświadczenia do IPN, a po miesiącu nam je odesłali. Wyrok Trybunału Konstytucyjnego: uczelni lustracja nie obejmuje. Dokumenty poszły do niszczarki, ale ja już miałem w sobie ten straszny ciężar. Musiałem to z siebie wyrzucić.

Tak się urodził „Korowód” – historia dwóch pokoleń Polaków: dzisiejszych studentów i ich rodziców. Właśnie z lustracją w tle. Bohaterów dzieli emocjonalna przepaść, ale również ocena historii. Jednak pewne okoliczności sprawiają, że muszą zadać sobie ważne pytania o życiową uczciwość, zasady, wybory moralne. „Korowód” obejrzało pół miliona widzów. A ukoronowaniem potyczek Stuhra z Polską stał się „Obywatel”.

## Film z czterech kartek

**J**est też w reżyserskim dorobku Jerzego Stuhra dzieło niezwykle, o którym on sam mówi: „Taki film robi się tylko raz w życiu”. „Duże zwierzę” to opowieść o wolności, prawie do inności, do kochania tego, co się kocha, a nie tego, co kochać wypada. I o tym, że nie wszystko w życiu jest na sprzedaż. Historię urzędnika z prowincjonalnego miasteczka, do którego ogródka przychodzi zostawiony przez cyrk wielbłąd, napisał Kazimierz Orłoś. Chciał ją przenieść na ekran Kieślowski, ale szefowi kinematografii Wilhelmowi wielbłąd na polskiej prowincji wydał się podejrzany. Po latach treatment tego filmu znalazł w Muzeum Kinematografii we Frankfurcie Janusz Morgenstern.

– Zadzwonił: „Pan to robi” – opowiada Stuhr.

Ale to były cztery kartki. Stuhr długo myślał, czy podjąć się tego zadania, czy wypełnić pomysł Kieślowskiego scenami, rozbudować postacie. W końcu się zgodził.

– Zastanawiałem się: „Jak by to Krzysiek zrobił?”. Przecież tam nawet nie było określonego miejsca akcji. Wymyśliłem sobie Limanową, a operator Paweł Edelman zaproponował, by zrobić film czarno-biały, bo w tej fakturze wielbłąd wychodzi najlepiej. Po długich bojach telewizja uległa.

Powstało dzieło niezwykle, pełne poezji, mądre. Zostawał w pamięci obraz skromnego człowieka w za ciasnym prochowcu i nasuniętym na czoło bereciku, który przyjmuje do swojego życia duże zwierzę. Kocha je. Ale co może w zamkniętej, nijakiej społeczności wzbudzić więcej agresji niż inność? Więc kamera pokazywała coraz smutniejsze oczy wielbłąda, który też przecież kocha i nie chce być ciężarem.

– Chciałem zrobić film o tolerancji. Ale potem wyszło mi coś o inności. I miłości – mówi Stuhr.

Jednego tematu nie potrafi, a może nie chce dotknąć. Tych lat, gdy dwa razy walczył o życie. Był na krawędzi. Najpierw zawał. Potem rak.

– Książkę napisałem, ale wokół choroby. W kinie? Nie, chyba bym nie umiał – przyznaje.

Wtedy nie poddawał się.

– Jeden profesor zagwarantował mi zaledwie kilka miesięcy życia – mówi. – Drugi powiedział: „Jeszcze nieraz się tu zobaczymy, panie Jerzy”. Odpowiedziałem: „Panie profesorze, ale dlaczego tak? Według statystyk mój rak kosi 70 procent pacjentów. Czemu pan mnie od razu wrzucił w te 70 procent? Jest jeszcze 30”. W czasie terapii, bardzo słaby, wyznaczałem sobie krótkie cele: dzisiaj dotrę do tej ławki, a jutro, jak się uda, kawalek dalej. Chociaż w oczach mi się ćmi, a nogi są jak z gumy. Ale musiałem iść. Jak zachorowałem, moja córka była w ciąży. Mówilem sobie: „Muszę zobaczyć wnuczę”. I zobaczyłem.

Potem, razem z żoną i Stowarzyszeniem Unicorn, założył w Krakowie Centrum Psychoonkologii, gdzie człowiek chory na raka może uzyskać wsparcie psychologiczne. Żeby nie czuł się sam.

Gdy pytam, jak takie doświadczenie człowieka zmienia, mówi o zastrzyku energii, jaki dostał po wyzdrowieniu.

– Myślę: trzeba tę energię wykorzystać. Bo nie wiesz, ile masz czasu. Jak się skończy dzień. Dzisiaj jestem zdrowy. O trzynastej dziesiąt. Ale jak będzie wieczorem? To przychodzi nagle. W jednej chwili – mówi Jerzy Stuhr, a po chwili dodaje: – Poza tym bardzo wzrósł mój współczynnik tolerancji. Ja już nikogo nie znienawidzę.

Codziennosc? To żona Barbara – ta sama od blisko pięćdziesięciu lat, skrzypaczka. Dwoje dzieci. Córka Marianna jest graficzką, syn Maciej aktorem.

Dom był zawsze ważny, ale Jerzy Stuhr mówi, że za rodziną głównie tęsknił. Bo stale gdzieś wyjeżdżał, wychodził, a jak był w domu, to myślami też błądził gdzie indziej. Żona też zresztą pracowała, jeździła na koncerty z Capellą Cracoviensis i z kwartetem skrzypcowym Amar Corde. Paradoksalnie dzisiaj, gdy dzieci prowadzą własne życie, oni mają dla siebie więcej czasu.

Rodzina to również czwórka wnuków. Dwoje dzieci Marianny i dwoje Macieja. Mówiąc o nich, Stuhr promienieje. Zmienia mu się głos. Ale przecież pojawia się tu zgrzyt:

– Nie miałem czasu dla swoich dzieci i chyba nie nauczyłem się codziennego obcowania z małym człowiekiem. Helenie czytam czasem za mądrą książkę albo wybieram film, który ona już zna. Nie

trafiam. Ale cieszę się, bo ona i tak lubi do mnie przyjść. Odbiorę ją z przedszkola, dam zakupkę. I ona tak sobie przy mnie przysiadzie. Nic nie mówimy. To dziecko jakoś się przy mnie uspokaja. Ma potrzebę, żeby się wyciszyć. A mój najmłodszy, malutki wnuczek Leon stale się uśmiecha. Strasznie te swoje wnuki kocham.

Codziennosc to również Kraków. Stuhr ma mieszkanie w Warszawie, ale – jak mówi – „całe życie go nosiło, więc teraz potrzebne mu są stare mury, spokojniejszy rytm, czas na kawkę, na precla, na rozmowę”. Lubi też zajęcia w krakowskiej PWST. Szczerze przyznaje, że zazdrości swoim studentom swobody, z jaką poruszają się po świecie.

– Ja za granicą czuję się doskonale, a jednak gdzieś w środku zawsze będę nosił w sobie resztki żelaznej kurtyny – wyznaje.

## Czekanie na „Kontrabasistę”

**P**ytam, czy nie traci kontaktu z nowym, „cyfrowym” pokoleniem.

– Czasem się dziwię, gdy rzucam tytuł, który dla mnie jest jak Biblia, a w oczach młodych ludzi widzę pustkę – mówi. – Ale trzeba się z tym pogodzić. Oni wszystko poznają przez internet. Nie idą do biblioteki, tylko wciskają klawisze komputera. Może tak jest prościej? Bo ja nawet na politykę i na to, co się dzieje dziś w Polsce i innych miejscach świata, patrzę przez pryzmat literatury. Witkacego, Gombrowicza, Mrożka. Wstających z łan lokajów z „Operetki”, Czepca z „Wesela”, Miętusa z „Ferdynand”, XX z „Emigrantów”, Edka z „Tanga”. No pewnie, jak do Sejmu idzie projekt, że kobiety, które zdecydują się urodzić ułomne dziecko, dostaną cztery tysiące, to się denerwuję: „Co za upokorzenie”. Ale tak ogólnie myślę: „Artyści to wszystko przewidzieli”.

Tuż przed swoimi siedemdziesiątymi urodzinami Jerzy Stuhr zafundował sobie kolejny debiut. Wystawiony w Operze Krakowskiej „Don Pasquale” rozbawił publiczność i zyskał znakomite recenzje. Wciąż też aktor gra „Kontrabasistę”, a to przecież dwie godziny ogromnego wysiłku na scenie. Podobnie jak „33 omdlenia”. Potrafi dużo od siebie wymagać. A czy myśli o wyreżyserowaniu następnego filmu?

– Marzenie mojego życia chciałbym zrealizować – przyznaje. – Nakręcić „Kontrabasistę”. To jest trudne przedsięwzięcie. Przychodzi mi do głowy tylko jeden punkt odniesienia: „Lokator” Polańskiego, z jego atmosferą szaleństwa i alienacji. To byłaby opowieść o wielkiej samotności.

Tylko czy mu się uda? Jeszcze niedawno mówił: „Najwspanialsze w ostatnich 25 latach wolności było dla mnie to, że moje życie uniezależniło się od polityki”. Dziś znowu polityka wchodzi w życie obywateli. Stuhrowi w ostatniej chwili, już po pierwszych próbach, przerwano w telewizji realizację spektaklu „Las” według Aleksandra Ostrowskiego. Oficjalny powód: brak pieniędzy. Ale reżyser uznał tę decyzję za „restrykcję personalną”.

– Siedemdziesiąte urodziny to ważny moment?

– Chce pani zapytać, czy mam poczucie przemijania? Miałem. Przy „Spisie cudzołóżnic”, jak mnie dopadła czterdziestka. A potem już nie. Może odrobinę niepokoju przynosi mi ta siedemdziesiątka. Bo wokół umierają koledzy, a ja sam przesmyknąłem się przez olbrzymie rafy. Jednak dzisiaj czuję się silny. I wciąż mam swoje cele. Nie wiem, czy je osiągnę. Ale idę. ☺